

Rozmowa z panią Wandą Kozłowską przeprowadzona 11.04.1989 r.
w Białymstoku.



Urodziłam się 17 lipca 1921 roku. Pochodzę z rodziny urzędniczej, ojciec był kolejarzem.

Pamiętam rozpoczęcie wojny w 1939 roku. Ojciec wrócił rano ze służby i powiadomił nas, że przyszedł transport zbombardowany przez Niemców. Wojna była dla nas straszną tragedią, ludzie to bardzo przeżyli. Front do naszego miasteczka nie dotarł. Później nadszedł 17 września. Doskonale pamiętam ten pochmurny, deszczowy dzień. Ktoś z sąsiadów zawiadomił nas, że wojska sowieckie przekroczyły granicę Polski i posuwają się w głąb kraju. W Mściwowie było dużo Żydów, a w okolicach wiele wsi białoruskich. Ci ludzie byli doskonale zorientowani, że Sowieci idą. Zaczęli budować bramy z kwiatami na powitanie bolszewików. W godzinach popołudniowych wkroczyły do nas wojska sowieckie. Wjechały czarne czołgi, żołnierze byli brudni, cuchnęli, a nad wojskiem pikowały samoloty. W tym samym dniu rozpoczęły się represje wobec Polaków. Wojsko, prawdopodobnie byli to enkawudziści, wpadło do wszystkich lepiej urządzonych, zamożniejszych domów. Do księdza, do apteki, do lekarzy. Od razu rozpoczęły się aresztowania. Wszystkie dni po wkroczeniu wojsk sowieckich były wielką tragedią. Aresztowali ludzi, którzy pracowali na urządach państwowych, wszystkich, którzy im nie odpowiadali, których uważali za "burżujów". Żołnierze radzieccy byli bardzo wrogo usposobieni do ludności polskiej. Mówili, że podali Polsce rękę, żeby uratować ją od "burżujów". W jednej sekundzie cały motłoch, ludzie, którzy kiedyś nie chcieli pracować, wzięli karabiny do ręki i zaczęli prześladować Polaków. W tym czasie ucierpiało wiele osób z mojej rodziny.

Aresztowano ojca, lecz wypuszczono go później. Rosjanie zaczęli tworzyć kółchozy, zabierali gospodarzom bydło, ziemię. Ludzi usuwano z porządniejszych domów i stacjonowało tam wojsko. Wszyscy byli podejrzani. Rosjanie wyglądali i zachowywali się bardzo prymitywnie. Wszystkie miasta do których wkroczyli zaczynały cuchnąć. Natychmiast zabrakło towarów w sklepach.

Sprzymierzeńcami Rosjan byli Żydzi. Miałam kolegę z gimnazjum, który mieszkał obok nas. Z chwilą kiedy wkroczyli bolszewicy kolega został milicjantem, oficerem. Kiedyś przyszedł do mnie do domu z "gwintowką" i powiedział: "Nie chciałem ze mną rozmawiać, a teraz widzisz kto ja jestem. Zaraz ci pokażę!" Nazywał się Josef Fisiel, był Żydem. Były też rodziny żydowskie pochodzące z inteligencji, które tak nie hołdowały bolszewikom. Ale takich Żydów było niewielu. Jednym z nich był nasz sąsiad, pan Białostocki.

Ludzie sprzedawali wszystko z domów, żeby kupić soli, nafty, mięsa. Zaczął panować głód. Ciężka zima 1939-40 pogorszyła jeszcze sytuację społeczeństwa. Tej zimy zaczęły się wywózki. Pierwsze deportacje miały miejsce przed Bożym Narodzeniem 1939. W tym czasie na naszych terenach zaczął tworzyć się ZWZ. Organizacja nie była jeszcze tak rozwinięta, żeby mogła tu, na terenach wschodnich, toczyć jakąś walkę. Tworzono dopiero siatkę. W ZWZ zostałam zaprzysiężona w 1940 roku.

Kiedy wkroczyli Niemcy znowu rozpoczęły się represje. Jak wyglądało życie pod okupacją niemiecką, wiedza wszyscy. Przez cały czas pracowałam w AK. Byłam łączniczką Obwodu Wołkowysk, miałam pseudonim "Jaskółka". Pracowałam w placówce "Ściwów". Miałam "skrzynkę", z której przekazywałam pocztę. Były to przede wszystkim rozkazy i pisma, które obwód przesyłał do okrę-

gu, czy do komendanta placówki. W moim domu był ośrodek, gdzie spotykały się łączniczki. Mężczyźni byli zorganizowani w oddziały. Na nasze tereny docierały Brygady Wileńskie. Trzeba było lokować je na odpoczynek w polskich wsiach, u zaufanych ludzi. Przenosiłam broń do lasu, a nawet przewoziłam do Białegostoku. Na terenie naszej posesji wykopano skrytkę. Mieściło się w niej do 30 żołnierzy. Mielismy w niej maszynę do pisania, małe radyjko, z którego ściągaliśmy komunikaty, powielacz. Na powielaczu odbijaliśmy nieraz biuletyn informacyjny. W skrytce tej, w roku 1943, byli żołnierze z Piątej Brygady Wileńskiej pod dowództwem Iwaszki.

Kiedy ujawniono sprawę Katynia, tak w naszych biuletynach jak i w prasie niemieckiej, nikt z Polaków nie wierzył, że nasi oficerowie zostali pomordowani przez Niemców. Wszyscy byli pewni, że jest to robota sowiecka. Później, po zerwaniu stosunków między Sikorskim a Stalinem, mieliśmy wiadomości z biuletynów i radia londyńskiego, że w Rosji tworzy się armia polsko-sowiecka. Mimo, że armia ta składała się z Polaków, którzy zostali tam wywiezieni, stosunek do niej był negatywny. Wiadomo było, że dowódcami są Sowieci, że armia ta jest na usługach Rosji i nikt z tego powodu entuzjazmu nie odczuwał. Bardzo niewielka część społeczeństwa była zorientowana w sprawach międzynarodowych, głównie ci, którzy należeli do Organizacji. A przecież ZWZ objęty był wielką tajemnicą. Inni mogli czerpać wiadomości z radia, o ile je posiadali.

Kiedy Sowieci zbliżali się do granic Polski, ludność cieszyła się, że Niemiec się cofa, że prawdopodobnie zostanie pokonany. Na wileńszczyźnie rozpoczęła się akcja "Burza". Nie powiodła się, gdyż Sowieci nie dotrzykali układu zawartego z gen. "Wilkiem". Zaczęły się masowe aresztowania. Bardzo dużo

ludzi z Brygad Wileńskich poległo w walkach z Niemcami i Sowietami. Wielu zostało aresztowanych. Przez cały czas byłam łączniczką i wykonywałam swoje czynności. Armia Krajowa walczyła tak samo przeciw Sowietom jak przeciw Niemcom. W tym czasie rozpoczęły się repatriacje ludności polskiej. Naszym zadaniem było informować społeczeństwo, żeby ludzie nie wyjeżdżali. Przypuszczano, że na tych terenach odbędzie się jakiś plebiscyt. Tymczasem Sowietom zależało, by jak najwięcej Polaków wyjechało. Żołnierze AK mieli rozkaz by nie opuszczać tych terenów. Mieliśmy wyjeżdżać jako ostatni. O tym co robiłam w latach 1944-45 nie będę mówić. Uważam, że na to jeszcze nie nadszedł czas.

27 sierpnia 1945 roku o godzinie 17 zostałam aresztowana.

Do mego domu wkroczyło trzech ludzi z NKHB. W tym czasie była u mnie jedna z łączniczek, ale uciekła przez okno. Założyli mi kajdanki i zawieźli do NKHB. Zachowywali się bardzo ordynarnie. Był z nimi jeden Polak, Bernard Kryszkiłowicz. Zrobili rewizję, zabrali mi złoty łańcuszek, pierścionek i zegarek. Żadnych materiałów dotyczących mojej pracy w AK nie znaleźli. Mówili, że w tym domu są bandyci...

Po przywiezieniu mnie do NKHB w Wołkowysku natychmiast rozpoczęto śledztwo. Chodziło im przede wszystkim o rozpracowanie AK na naszym terenie. Śledztwa ich były straszne. Moje rozpoczęło się od strasznych wyzwisk. Wśród tych "śledowaciel" *najwięcej* było chyba kryminalistów, aczkolwiek byli oni wysokiej rangi. Mój śledczy, Masłow, był w stopniu majora. To był degenerat, nawet jego wygląd zewnętrzny był straszny. Na śledztwie bito. Pierwszej nocy posadzono mnie przy zakratowanym oknie. Miałam bardzo długie włosy. Śledczy nawinał je na rękę i tak uderzał moją głowę o te kraty. I naturalnie wyzwiska. Śledztwo trwało

całą noc. Rano zezwolono mi położyć się w celi, a właściwie dawnym pokoju. (Przed wojną w tym budynku mieścił się chyba Urząd Skarbowy.) Następnej nocy znowu straszne śledztwo, polegające na okropnych wyzwiskach, strasznym biciu i wymaganii, żeby się przyznać do czegoś. Trzeba było coś kombinować, żeby mówić. Posługiwaliśmy się nazwiskami ludzi nieżyjących, lub fikcyjnymi. Później trzeba było pamiętać, żeby mówić to samo. Bo ciągle, bez przerwy pisali, nazywało się to "licznoje dzieło". Pewnej nocy Maskow tak strasznie bił mnie i wyzywał, że nie wytrzymałam, zdenerwowałam się. Na jego biurku leżał nagan i stał kałamarz. Musiałam stać, nie wolno było mi usiąść. Staliśmy nieraz po trzy doby, tak, że człowiek padał. Jak się padało, podnosił i bił naganem w tył głowy. Nie było po tym żadnych śladów, żadnych zasinień na twarzy. Tej nocy, po tych wszystkich wyzwiskach złapałam kałamarz i uderzyłam, rąbnęłam w niego. Atrament się rozlał. Zalało mu całą twarz, papiery, mundur. Śledczy zdębiał. Przyprowadził prokuratora i sporządzili protokół, że rzuciłam się na śledczego. Oskarżono mnie, że chciałam go zabić. I wtedy tak strasznie mnie zbito, że straciłam przytomność. Rano obudziłam się w pokoju-celi cała mokra, drżąca z zimna. Z tego wynika, że polewali mnie wodą. Później odprowadzono mnie do więzienia w Wołkowysku. Razem ^{trzech} ze mną prowadzono ~~dwóch~~ mężczyzn. Dwóch z nich było z Piątej Brygady Wileńskiej, a jeden z Trzeciej, od "Szczepcia". Nazwisk nie pamiętam, znam tylko pseudonimy dwóch z nich: "Józef" i "Boruta". W areszcie śledczym nie widzieliśmy się, spotkaliśmy się dopiero gdy mieli odprowadzić nas do więzienia. Byliśmy tak zbici, że nie poznawaliśmy się. Nie wolno było się poznawać. Jeden z nich, "Boruta", poznał mnie, choć byłam strasznie opuchnięta. Miałam wtedy małą walizeczkę, która ma-

ma przynieść mi do NKHB, więc ci nasi dżentelmeni chcieli mi pomóc ją nieść, bo nie mogłam iść. Ale porozumieliśmy się wzrokiem, że poznać się nie wolno bo znowu nas wezmą do aresztu. Prowadzono nas rynsztokiem, nie wolno było iść chodnikiem. Ci z NKHB mieli bagnety założone na karabiny. W rynsztoku pełno było nierówności, a człowiek zbity, ledwo żyjący...

Chcę teraz wymienić nazwiska "śledowaciel" z NKHB w Wołkowysku. Więc byli tam: Masłow - okrutny i straszny człowiek, Kaniakin i Iwanow.

Kiedy przyprowadzono mnie do więzienia na oddział kobiecej, to dozorcynie więzienne, Sowietki, rozbierały mnie i mówiły: "Hospodi, a kto z wami eto sdielał?" Powiedziałam: "Wasi oficerowie". W celi byłam z kilkoma Polkami i Sowietkami. Nie znałam żadnej z nich. Przez dwa tygodnie nie wzywano mnie na śledztwo. Leżałam w celi, nie mogłam się podnosić. Przynoszono mi tam bałandę, karmili nas dwa razy dziennie byle czym. Kobiety kładły mi kompresy na głowę i nogi.

Po dwóch tygodniach przewieziono mnie pociągiem, w wagonie dla aresztantów, do Grodna. W Grodnie ulokowano nas w NKHB przy ulicy Hofera. Były to przedwojenne składy win. Budynek był w kształcie prostokąta, miał wycementowane podwórko. Siedziałam w celi nr. 12. Na powierzchni ośmiu metrów kwadratowych było nas chyba 24 osoby. W nocy, z pokoiów nad naszą celą docierały do nas straszne jęki i krzyki mężczyzn. Po obu stronach naszej celi były cele kolegów i porozumiewaliśmy się ze sobą alfabetem ~~Marszał~~ Morsa. W celi nie było w ogóle prycz. Każdej nocy rozpoczynało się śledztwo. O godzinie 22 przychodził śledowaciel, otwierał celę i mówił: "Kto zdieś na K?" No to jak było trzy osoby na K, to każda się podnosiła. On wybierał i pokazywał: "Wot ty idiosz, Kozłowskaja". Zabierał mnie

mnie i trzymał przez całą noc, do godziny 6 rano, na śledztwie. W Grodnie miałam śledowaciela, który przedstawił mi się jako Orłow. Wiedział, że rzuciłam się na śledczego w Wołkowysku i powiedział mi, że on takich metod jak Mańków raczej nie będzie wobec mnie stosował. Powiedział, że przypuszcza, że jestem patriotką swojej ojczyzny, a on swojej i w związku z tym prawdopodobnie się dogadamy. Pytał o organizację AK, o to kto do niej należał. Chciał, żeby po prostu sypać. Na śledztwie trzeba było ciągle mówić to samo. To było już w naszym interesie, żeby się broń Boże nie zaplatać. Każde słowo było brane pod uwagę i zaraz wyciągano z niego wnioski. A przecież chodziło o to, żeby jak najmniej było ofiar, jak najmniej wysp. Śledztwo trwało prawie każdej nocy. W tygodniu była najwyżej jedna noc, kiedy można było spać. Ci, którzy zostawali w celi, nie szli na śledztwo, nie mogli spać ze względu na straszne jęki i krzyki. Ten, który przychodził rano ze śledztwa nie miał prawa położyć się, choć koleżanki ustępowały miejsca. Strażnicy zaglądali przez wizjer i trzeba było spać na siedząco.

W więzieniu siedziałam raz, a raczej stałam, w karcerze. Jeśli coś nie spodobało się śledczemu, to wsadzał tam więźnia. Karcer był wypełniony wodą. Więźnia rozbierano do bielizny i trzymano tam doba, dwie. Był tam cementowy słup, na którym można było usiąść. Jeżeli chodzi o sprawy fizjologiczne, to była woda... Pamiętam, że w karcerze najbardziej bałam się wodnego szczura, który tam pływał.

Moje śledztwo zakończyło się 17 listopada.

Jeśli chodzi o wyżywienie w więzieniu, to rano i wieczorem dostawaliśmy kibiłtok i raz dziennie bakande, zupełnie gotowane na małych kartofelkach. Poza tym, jeżeli spodobało się śledo-

wacielowi, to mógł zezwolić na dostarczenie paczki. Bo rodzina, rodzice przyjeżdżali tam i stali pod bramą więzienia. Do naszej celi nie docierały wiadomości z zewnątrz. Obsługa w więzieniu odnosiła się do nas bardzo ordynarnie, nazywali nas faszystami. Przy sprawdzaniu paczek łamali chleb, przesypywali mąkę. Tylko czasami na płótnie, w które była owinięta paczka, napisanych było kilka słów.

W celi były razem ze mną: Teresa Pawłowska, Stanisława Naumienko, Felicja Buro, Alina Baryło, Stanisława Maciejewska, Zuzanna Bohatyrowicz, Ziuta Lubaszewska, Hanna Garbowska, pani Guzarowa. Były to dziewczyny z Grodna, Wołkowyska. Wszystkie należały do AK. Wszystkie przeżyły więzienie w Grodnie, żyją do chwili obecnej.

Mówiłam już, że budynek NKHB w Grodnie miał czworokątne, wy-cementowane podwórze. Każdego ranka, przed świtem, rozlegały się tam strzały i przyjeżdżał, zobaczyłyśmy to przez okienko, samochód, który nazywano "Czorny Woron". Wywoził on ludzi na egzekucje. Przypuszcza się, że na podwórzu NKHB w Grodnie odbywały się egzekucje naszych ludzi. Później, przed świtem, wywozili ich gdzieś w nieznanym kierunku. Gdzie, tego się nie dowiedzieliśmy. Było to w roku 1945.

Po zakończeniu śledztwa przeprowadzono nas do więzienia w Grodnie. Znalazłam się tam w celi nr. 16. Cella była bardzo duża, nie było w niej prycz, nic. Tam czekałyśmy już na sąd. Sowieci maltretowali nas nie tylko fizycznie, ale i psychicznie, moralnie, pod każdym względem. Kiedy byłyśmy w NKHB, to przez okres dwóch, czy trzech miesięcy nie wyłyśmy się, nie było wody. Z chwilą kiedy przyprowadzono nas do więzienia, poszłyśmy do łaźni. Byłyśmy strasznie brudne, bielizna osobista brudna. Wchodzimy do łaźni i widzimy tam młodych, zdrowych

mężczyzn. To było straszne. Oni obsługiwali kobiety. Byłyśmy młodymi dziewczętami z dobrych domów. Trudno było sobie nawet wyobrazić, że trzeba było iść po "szajkę" wody do tego mężczyzny. Przedtem trzeba było się rozebrać. Początkowo nie szłyśmy. Ze strony tych mężczyzn padały różne wyzwiska, epitety. Po umyciu się trzeba było iść do fryzjera, również mężczyzny, który golił wszystkie dyskretne miejsca ciała. W tej "szajce" wody trzeba było umyć się, uprać bieliznę osobistą i z tą bielizną wrócić do kamery, do celi. W celi nie było prycz, tylko cementowa podłoga. Bieliznę suszyłyśmy w ten sposób, że wkładaliśmy ją w złożony na pół koc i na tym spałyśmy. W celi miałyśmy dużą beczkę dla potrzeb fizjologicznych. Wnosiliśmy ją dwa razy dziennie. Rano i wieczorem dawano nam kipiątek, a w obiad jakąś zupę.

Wydawało nam się, że jesteśmy już prawie na wolności. Czekałyśmy na sąd. Zakończono śledztwo, które było dla aresztowanych najstraszniejsze. Przecież działali w nim i na psychikę, i bili. Cały czas chodziło w nim o to, żeby się nie zdradzić, żeby kogoś nie wydać. Na moim śledztwie nie przyznawałam się najpierw do przynależności do AK i do mego pseudonimu "Jaskółka". Wtedy oni pokazywali na okno i mówili o czarnych ptaszkach z białymi brzuskami. Udawałam, że nie wiem o co chodzi. Oni pytali, a my "walaliśmy duraka", jak to się mówi w ich języku.

W więzieniu spotkałam kolegę, Olka Zarzyckiego. 29 czerwca 1945 roku brałam udział w akcji razem z kolegami. Jeden z nich został ranny, aresztowali go. Nasze oddziały chciały go odbić z więzienia, ale nie udało się. Wywieziono go w nieznanym kierunku, byliśmy przekonani, że zginął. Mnie aresztowano miesiąc po nim. Pewnego dnia, gdy więźniowie roznosili bakandę zapy-

tali nas: "A gdzie jest Bastoczek?" - to był mój pseudonim, "Jaskółka". Zawołali mnie i przekazali grypek od Olka, który był w tym samym więzieniu, w szpitalu. Dopiero wtedy dowiedziałam się, że on żyje. Jak mnie znalazł, nie wiem.

17 listopada wezwano nas na sąd. Któryś z oficerów chodził po celach i wywoływał ludzi po nazwiskach. Nikt z nas nie wierzył, że dostaniemy tak duże wyroki, aż tyle lat. Ciągłe była nadzieja, że to się szybko skończy, że wyjdziemy na wolność. Nie bardzo tym sądem się przejmowałyśmy. Ubrałyśmy się bardzo elegancko, w jakieś płaszczyki, jesioneczki. Pamiętam, miałam piękną apaszkę.

Z więzienia wyprowadzono nas pod bardzo wielką obstawą. Najpierw ustawiono czwórkami kobiety, a za nimi mężczyźni. Kiedy ruszyliśmy, zaczęliśmy wszyscy śpiewać "Rozszumięły się wierzby płaczące". Wiedzieliśmy, że nie będą do nas strzelać, bo prowadzą nas na sąd. Grozili nam tylko. A Grodno to przecież polskie miasto. Z każdego domu ktoś był aresztowany, siedział, albo zginął. Więc ludzie w oknach nas witeli. "Budu strielat" krzyczeli Sowieci do okien. Mieli wtedy z nami dużo kłopotu. Przecież aresztowana była cała najlepsza młodzież. Wiądy nami nie było konfidentów, mentów społecznych.

Zaprowadzono nas do jakiegoś dawnego polskiego biura i tam wprowadzano na salę po kilka osób, które były mniej więcej z tej samej sprawy. Weszłam na salę z moim kolegą z gimnazjum, Edwardem Borodziukiem i całą jego rodziną, czterema osobami. Były tam jego siostry Jadwiga i Janina, imienia młodszego brata nie pamiętam. Wszyscy należeli do AK, aresztowano ich przede mną. Zeznawaliśmy w jednej sprawie. Na sali siedziało czterech mężczyzn i kobieta, sekretarka. Trzech wysokich rangą oficerów to byli Żydzi, czwarty Rosjanin. Ich nazwisk nie znam.

Uważaliśmy to wszystko za parodię, bo tak to wyglądało. Odczytano nam nasze zeznania, oczywiście streszczone. Dla mnie zadano pytanie, jakie zadanie miała AK. Bo w końcu musiałam się przyznać, że należałam do AK, taka była sytuacja. Odpowiedziałam, że AK miała za zadanie walkę z okupantem. Mówiłam po polsku a oni po rosyjsku. Wtedy zapytali, kogo uważam za okupanta. Odpowiedziałam, że Niemców i Sowietów. Później pytali czyje są te ziemie, na których byliśmy, mieszkaliśmy. Powiedziałam, że oczywiście polskie. Usłyszałam: "No kakije to polskie, to Białoruś". Powiedziałam, że ziemie te są polskie od 966 roku. Na to któryś z nich krzyknął: "Sadiś!" i to było wszystko. Pytań zadawanych kolegom nie pamiętam.

Później odczytano wyrok: "Wanda Kozłowska Josifowna, kliczka "Łastoczka", należała do podpolnej organizacji, działała przeciw ZSRR, zostaje skazana na 10 lat łagrów, 5 lat pozbawienia praw obywatelskich oraz konfiskatę mienia". Rodzicom skonfiskowali, zabrali wszystko. A przecież ja niczego nie miałam, nie pracowałam. W tym czasie szanująca się dziewczyna nie pracowała ani dla Niemców, ani u bolszewików, chyba, że musiała.

Wracając z sądu do więzienia znowu zaczęliśmy śpiewać. Oni jak tylko mogli chcieli to strąsić, ale my byliśmy dobrej myśli. Wyrok przyjęliśmy nie jak prawdziwe skazanie, nie czuliśmy się przecież winni, ale jak parodię. Tak jak wszystko co sowieckie było wtedy uznawane za parodię. Ciągłe mieliśmy nadzieję, że to niedługo się skończy.

W niedzielę 17 grudnia 1945 roku wywieziono nas transportem do Rosji, do łagru. Więzienie było przy farze, nasza cela była wysoko i przez okno widziałyśmy dzwon. Tego dnia słyszałyśmy go po raz ostatni. Od rana powiedziano nam, żeby przygoto-

wać się do transportu. Najpierw wyprowadzono mężczyzn. Kazano im klękać na śniegu. Później wyprowadzono nas. Szliśmy przez ten szpaler kłęczących mężczyzn. Do eszelonu, pociągu, poszliśmy jako pierwsze. Kiedy przechodziliśmy koło mężczyzn jeden z nich złapał mnie za rękę. To był Broniek Botwicz, podporucznik AK. Tak dowiedziałam się, że i on jedzie. Prowadzono nas ulicami Grodna. Otoczeni byliśmy żołnierzami ze skierowanymi w nas karabinami z bagnetami i psami. Wtedy miał miejsce bardzo wzruszający wypadek. Siostra jednej z koleżanek, Wery Połuch, przyjechała do niej z Wołkowyska i widziała nas idących do pociągu. Stała na moście, w Grodnie jest taki wiadukt, miała przy sobie krzyż i tym krzyżem błogosławiła nas. Na bocznicę załadowano nas do pociągu składającego się z około 50 wagonów-cielętników. W niektórych wagonach byli już Rosjanie. Nas wprowadzono do wagonu, którego połowę zajmowały Rosjanki skazane za przestępstwa kryminalne. W wagonie były pojemniki do załatwiania potrzeb fizjologicznych i piecyk ze straszną rurą. Było strasznie ciasno, wagony były nabite po brzegi. Przez trzy tygodnie kiedy jechałyśmy do Archangielska nie mogłyśmy spać. Siadałyśmy na różne sposoby, kładłyśmy nogi na ramiona koleżanek. Nie można było położyć się. W wagonie nie było żadnych prycz. Farmiono nas dwa razy dziennie. Dawano suszonego, bardzo słonego dorsza, kawałek chleba, chyba 150 gram, i oczywiście kapiatok. Zup żadnych nie było. Najgorsze było to, że nie można było się nawet na chwilę zdrzemnąć, bo ciągle ostukiwali wagony. Ilu jechało ich z nami, nie wiem, ale na każdej stacji, małym przystanku, chodzili godzinami po dachu, opukiwali sufity, ściany, sprawdzali pod kołami wagonów. Na początku wciąż jeszcze miałyśmy nadzieję, że nas odbiją. Bo przecież były jeszcze Brygady Wileńskie. Myś-

lażyśmy, że może na granicy, tej dawnej, zainteresują nas. Bo były takie wypadki. Ale z chwilą kiedy usłyszaliśmy, że jesteśmy w Niegorokoje, to miny nam zrzedły.

Przywiedli nas do Orszy. Był to punkt, gdzie Sowieci segregowali więźniów i odsyłali ich etapami do lagrów. Tam przeżyliśmy pierwszą, straszną Wigilię. Przez trzy dni byliśmy w celi w Orszy. Co tam się działo, ile zniszczono istnień ludzkich, pomordowano ludzi, to trudno sobie wyobrazić. Zginął tam mój stryj, Jan Kozłowski, którego aresztowano rok przede mną. W celach skoncentrowano więźniów politycznych i połączono ich z kryminalistami. A kryminaliści w Rosji są szczególnie straszni i okrutni. Mają zorganizowaną bandę, która nazywa się "błatnyje". Oni właściwie rządzą tam w lagrach, w obozach. Rządzili nawet całym naczalstwem, które się w nimi liczyło i traktowało ich zupełnie inaczej niż więźniów politycznych. Sowietki, które siedziały razem z nami w celi chciały nas okraść, zabrać nasze worki. Ale wystąpiliśmy przeciw nim bardzo energicznie i dopiero wtedy się uspokoiły. Wśród nas były poważne damy, pamiętam panią Guzarowa, żonę naszego szefa wywiadu, ale kiedy Sowietki chciały się na nas rzucić wystąpiliśmy i powiedziały, że będziemy się bronić.

24 grudnia, kiedy zaczęło zachodzić słońce, chciałyśmy urządzić Wigilię. Nie miałyśmy przy sobie prawie nic. Koleżanki miały dwa suchary, cebulę. Położyłyśmy nasze woreczki, przykryłyśmy je czystą koszulą. Suchary, to był nasz opłatek. Podzieliłyśmy się nimi, pomodliły. Oczywiście popłakałyśmy. Chyba na trzeci dzień świat odtransportowano nas "Czornymi Woronami" do pociągu i pojechaliśmy w nieznanym kierunku. To był ogromny transport. Na Sylwestra przyjechaliśmy do Moskwy. Postawiono nas na boczniczy i staliśmy tam chyba ze dwie doby.

Z Moskwy przywieziono nas do Archangielska. W tym rejonie głównym obozem było Jercewo. Podlegały mu wszystkie inne lagry. Ile ich było nie wiem. Nas przywieziono do lagru, który nazywał się Czuzga. Był to obóz mieszany. W obozie męskim znajdował się żeński, odgradzony sztachetami wysokimi chyba na trzy metry. Kiedy wchodziliśmy na teren obozu to kryminaliści, oni chodzili bez konwoju, czatowali na nas przy bramie. Dano im cynk, że przyjechali Polacy i Polki. Mówili, że "polskie pani" jada i chcieli nas okraść. Co tu dużo mówić, okradali nas. Obóz był w kształcie czworokąta. Od strony zewnętrznej był drut kolczasty, który sięgał może do trzech metrów. Od strony wewnętrznej również był drut kolczasty, a między drutami 3, może 4 metry ziemi, którą codziennie bronowali. Na rogach były rogatki, wieże, na których stali dozorczy. Obóz kobiecy był oddzielony od męczyzn drewnianym płotem. Zakwaterowali nas w baraku. Były tam prycze - góra, dół. Było strasznie zimno, włosy przymarzały nam do ścian. Potężne szczury biegały w baraku po trapach. Dookoła rósł las. W baraku takim jak nasz mieściło się od 120 do 200 osób. Prycze to były po prostu dwie deski. Ubrano nas w straszne "buszłaty", kurtki uszyte z frontowych szyneli. Całe pokrwawione, brudne. Wszędzie była masa insektów. Pluskwy padały na nas w dzień i w noc. Żarły nas wszy, szczególnie ubraniowe. Miałam ze sobą garsonkę, robioną jeszcze podczas okupacji, to z każdego jej szwu wystawały ogromne wszy. Głód był niesamowity. Dostawaliśmy 450 gramów chleba, a raczej gliny, cegły. Ten chleb nie miał nic wspólnego z chlebem. Były w nim łuski kukurydzy, pełno różnego śmiecia. Mieliśmy dziesięciogodzinny dzień pracy. Dwa razy dziennie dostawaliśmy jeść. Rano, między piątą a szóstą. O szóstej wychodziliśmy do pracy. I drugi raz między szóstą a siódmą. Dwa ra-

zy dziennie, rano i wieczorem, był apel. Przychodził strzeżnik z deską, szklą i ołówkiem i pisał ilu jest obecnych, ilu w szpitalu itp. Stosunek NKWD i strażników do nas był straszny. Szczególnie się odnosili do więźniów politycznych. Nazywali nas faszystami. Nie tylko dozorczy, ale i bandyci traktowali nas w okropny sposób. W baraku trzeba było ciągle być na straży swego mienia, choć właściwie nic się nie posiadało. W tym lagrze było mało więźniów politycznych, przeważali kryminaliści. W Czużgie były dwa baraki kobiece. Baraków męskich było chyba ze dwadzieścia. Byli tam ludzie ze wszystkich narodowości: Czesi, Łotysze, Litwini, Niemcy z południowej Ukrainy, nawet Szwedzi. Ludzie umierali, padali jak muchy. Wyglądali jak ci, którzy byli w obozach niemieckich.

Po trzech miesiącach przewieziono najszabszych z nas (rozchorowałam się wtedy na płuca) do drugiego lagru, który nazywał się po polsku, Mostowica. W obozie tym było dużo inwalidów. Znajdował się w nim szpital, było trochę lekarzy. Bardzo mało leków i bardzo dużo chorych. Z innych obozów przywożono tam umierających, ludzi zakaźnie chorych. Nie było ich czym leczyć. Wszyscy byliśmy tam chorzy, strasznie wycieńczeni po przebyciu więzienia, NKHB, transportu.

Ponieważ miałam szkołę felczerską pracowałam tam w służbie zdrowia. Ale nie zawsze, bo właściwie oni nie mieli prawa zatrudniać nas przy takich lepszych, złejszych pracach. Było specjalne zarządzenie, żebyśmy pracowały przy pracach ciężkich. Kiedy weszłam po raz pierwszy na teren szpitala, to zdabiałam. Byli tam ludzie konający, chorzy na szkorbut, dezynterię. Chorzy na dezynterię leżeli na deskach, nie było żadnych materaców. W deskach były otwory i z tych ludzi wszystko lało się na podłogę. A my mieliśmy tylko jedno lekarstwo, bismut. Wszę-

dzie były straszne brudy, masę ludzi umierało.

W Mostowicy było na prawdę strasznie. Kiedy nas przywieziono, kobiet było tam może 55 czy 65. Taki nieduży oddzielny baraczek. Natomiast mężczyzn było około 5 tysięcy. Od roku 1946 do końca 1947 i początku 1948 w tym lagrze zostało 1900 osób. Reszta wymarła. Codziennie wyносzone z baraków po 10-15 osób. Były samobójstwa, ale nie wśród Polaków. Grzebaliśmy ludzi bez bielizny i bez trumien. Na każdym musiała być przeprowadzona sekcja zwłok, ale tak dużo ludzi umierało, że nie mogliśmy z tym nadążyć. Najczęstsze schorzenie nazywało się "alimentarna dystrofia". Wyniszczenie organizmu dzieliło się na trzy stopnie: słaby, gorszy i najgorszy. Ludzie przypominali chodzące kościotrupy.

Zdarzały się tam sytuacje niemal humorystyczne. Jeden z Estończyków postredał zmysły. W szpitalu leżał zmarły przykryty jakąś płachtą. Ta płachta była za krótka, przykryliśmy mu głowę, a nogi wystawały. Ten Estończyk chodził koło zmarłego i przykrywał mu to głowę, to nogi. Nie mógł się zorientować, że płachta jest za krótka.

Dobijały nas insekty, pluskwy. W barakach światło paliło się przez całą dobę. Kiedy spałyśmy na górnych pryczach, to pluskwy dosłownie padały na nas. Dali nam takie worki, niiby materace, więc wchodziłyśmy do tych worków, zawiązywałyśmy je przy szyi, ale nie chroniło to przed pluskwami. Wszędzie były wszy. Po barakach chodziły ogromne szczury.

Poza ogólnym wycieńczeniem ludzi zabijała gruźlica. Wśród Rosjan dużo było chorób zakaźnych, w tym wenerycznych. Dużo chorób wenerycznych było wśród naczalstwa, które przychodziło leczyć się do ambulatorium. Na skutek wycieńczenia i niewydolności serca, u ludzi wytwarzała się woda w brzuchach i umie-

rali od tego. Ci, którzy nie chcieli iść do pracy pili dużo soli. Sól powodował obrzęki nóg, takie że człowiek nie mógł chodzić i wtedy wydawano zwolnienia lekarskie. Lecz to kończyło się śmiercią. Organizm był wycieńczony, czasem pompowaliśmy ludziom po 8 litrów wody z jamy brzusznej. Były to tzw. BBD - obrzęki z braku białka w organizmie. Ludzie wywoływali sztuczne flegmony. Przeciągali nitkę przez zęby, później przesywali nią sobie udo. Wtedy nie chodzili do pracy. Polacy tego nie robili.

Polaków było tam chyba piętnastu. Pamiętam nazwiska niektórych z nich. Michał Sadowski, Kazimierz ~~Sadowski~~ ^{Kozłowski}, ^{Józef Zapolski}, Wacław i Nikołaj Rączkowsy. Dwaj ostatni byli Polakami z Rosji. Ich rodziców wywiezino jeszcze podczas powstania. Odsiadawali tam już drugi wyrok. Zostali aresztowani podczas stalinowskich czystek. Wewnętrznym komendantem, przedstawicielem wybranym przez ludzi, w Mostowicy był inżynier Kukliński, też Polak z Rosji. Bardzo szlachetny człowiek i wielki Polak. Ci ludzie bardzo dużo nam pomogli. Pan Kukliński odsiadywał już drugi wyrok, więc jak nas przywieźli miał już 15 lat lagru za sobą. Z Polaków nie umarł tam nikt.

Tych wyniszczonej ludzi pędzono do pracy. Przede wszystkim do "lesopowal", budowy kolei i do prac na terenie obozu, najczęściej do czyszczenia chodników ze śniegu. Zasy niejednokrotnie sięgały do 2 metrów, więc była to ciężka praca. Większowie byli dzielani na słabszych i zdrowszych.

Koleżanki, o których mówiłam wcześniej były razem ze mną w Mostowicy. Pracowały w fabryce mebli, które odsyłano do Moskwy. Przecież dookoła nie było żadnych miast, tylko same lagry. Sowieci nie strzelali tam do ludzi. Zakładali, że wybije ich pogoda i głód. W obozie nie wiedzieliśmy absolutnie nic o tym

co dzieje się na świecie. Do domu można było pisać dwa razy do roku. Listy nie zawsze docierały na miejsce, te z domu również. Cenzura wszystko dokładnie sprawdzała, jeśli cokolwiek się im nie podobało, list likwidowano. Mieliśmy tam wmontowane stalinowskie "toczki". Wiedzieliśmy tylko to co mówiły "toczki", nic więcej.

Polacy byli bardzo solidarni, życzliwi dla siebie, zorganizowani. Dzieliliśmy się każdym małym kawałeczkiem chleba. Cokolwiek się zdobyło, nikt sam nie zjadł. Pamiętam, że Teresa Zielińska, która mieszka obecnie w Gdańsku, dostała w jakiś sposób ziemniak. Przyszła do ambulatorium i pytała co z nim teraz zrobić. Powiedziała: "Ty źle wyglądasz, jesteś bardzo chora, to ugotujemy go i ty go zjesz". Powi^edziałam, że absolutnie nie. Zaczęłyśmy się o to kłócić. W końcu wzięłyśmy wiadro wody, ugotowałyśmy taką zupę i zjadłyśmy ją wszystkie. To jest przykład jak Polacy na obozy nie byli zżyci, solidarni. Najlepszym tego dowodem jest, że po tylu latach utrzymujemy ze sobą kontakty.

W łagrze oprócz nas, więźniów politycznych, byli też kryminaliści. Byli bardzo zorganizowani i dzielili się na dwie grupy. "Błatnyje"- prawdziwi bandyci, którzy podobno mają swój kodeks wewnętrzny i "suki"- nawróceni, którzy w łagrach współpracowali z władzą. Między nimi były ciągle straszne walki. Błatnyje uważali tych drugich za zdrajców. Jednego dnia byłem świadkiem 6 morderstw i można powiedzieć, że jako pracownik służby zdrowia brałem w tym wszystkim udział. Kiedy zaczął się między nimi bój wzywano mnie do chorego suki, któremu szyję przebito nożem. Noży nie wolno było mieć w łagrze, ale oni mieli wszystko - noże, siekiery, narkotyki. Jak to zdobywali, tego nie wiem. Zrobiłem rannemu tamponadę krtani, sanitariu-

sze wzięli go na nosze i poszliśmy do szpitala. Z jednej strony stali błątnyie, z drugiej suki. Nawzajem się obracali, ob-sypywali obelgami. Wszyscy mieli noże. Szłam za noszami i mów-
wiłam po cichu "Pod Twoją Obronę". Do rannego zbliżył się b-
łątnoij i zabił go, leżącego na noszach, nożem. Jego znów ude-
rzył nożem suka. W taki sposób w ciągu pół godziny było sześć
trupów. Jako ostatni został ranny szef błątnych, Bronka. Sztv-
letowano go, ale nie dobito. Miał przecięte płuco. Zanieśli-
my go na stół operacyjny. Powstała u niego sztuczna odma p-
łuc i nie mogliśmy go operować. Czekaliśmy, że umrze, a dooko-
ła szpitala znowu zebrały się dwa obozy bandytów. Jedni chcie-
li dotrzeć na salę, żeby Bronkę dobić, drudzy, żeby go ratować.
Wbrew wszelkim regułom Bronka przeżył. Enkawudziści nie wcho-
dzili z bronią na teren obozu, przeciw więźniowie mogli ją
im odebrać. Dlatego ze stacji Jercewo przywieziono bardzo du-
żo uzbrojonych żołnierzy, oni otoczyli szpital i w taki spo-
sób wybronili tego Bronkę. Do baraku wróciłam późno w nocy.
Koleżanki, Rena i Stasia Naumienko, myślały, że mnie już za-
sztyletowano. Zmówiły nawet za mnie różaniec. Bo w obozie by-
ła wojna. Bronka leżał w szpitalu i suki cały czas chcieli go
zabić. W końcu mieliśmy odwieźć go do szpitala w Jercewie.
Położyliśmy go na nosze i poszliśmy pod konwojem do bramy.
Ale na terenie obozu suki zdążyli go zasztyletować.
Władze obozu nie mogły i nie chciały nic z tym zrobić. Najgor-
si w tych bandach byli małoletni, wychowankowie sowieckich do-
mów dziecka, których Sowieci wychowali wedle swoich metod.
W 1950 roku Moskwa wydała zarządzenie, że wszyscy więźniowie
polityczni, a szczególnie akowcy, powinni znaleźć się w lag-
rach o jeszcze silniejszym reżimie. Utworzono wtedy "RECz Sa-
giera" (Bagiera Osobowo Reżima), lagry o specjalnym reżimie.

W grudniu 1950 roku wywieziono nas etapami do Workuty. Więźniów politycznych wywieziono także do Kołymy, do obozów na Ziemi Franciszka Józefa. Do bardzo ciężkiego obozu pod Moskwą, nazywał się on Mordowia. Choć klimat był tam łagodniejszy niż u nas, wiem, że był to obóz straszny.

Wśród nas było bardzo dużo Ukrainek, które nie miały nic wspólnego z polityką. Te nieszczęsne kobiety nie umiały nawet pisać, nie miały pojęcia o jakiegokolwiek organizacji. Wśród więźniów politycznych najwięcej było Rosjan. Do lagrów trafili oficerowie i żołnierze, którzy dostali się do niewoli niemieckiej. Ludzie, którzy żyjąc po wojnie w bardzo ciężkich warunkach powiedzieli, że w Ameryce żyje się lepiej - dostawali za to 10 lat i stawali się więźniami politycznymi. Cała masa ludzi ze świata kultury i sztuki - aktorzy, pisarze. Pamiętam aktorkę z moskiewskiego teatru, Tanię Pałaginę. Kiedy stosunki Rosji z Ameryką były przyjazne, wyszła za mąż za pracownika ambasady USA. Po wojnie osadzono ją za to, dostała 10 lat i była więźniem politycznym. Jeszcze z Archangielska pamiętam dwóch pisarzy. Jeden z nich nazywał się Radiszczew, nazwiska drugiego nie pamiętam. Wiem, że był autorem książki "Dawnym dawno". Pisząc używał dużo zwrotów francuskich, przez to zarzucono mu, że jest sympatykiem zachodu i dostał za to 10 lat. W Workucie siedziała ze mną pani, która była jedną z sekretarek Lenina. Była żoną komandora, który służył kiedyś na Morzu Czarnym. Kiedy przywieźli nas do lagru, ona siedziała już 20 lat. Męła rozstrzelano na jej oczach, dzieci oddano do "Dzieciom", a ją wysłano do obozu. Po śmierci Stalina przyszło do niej z Moskwy ulaskawienie i rehabilitacja. Ta kobieta (bardzo wykształcona, pochodząca z dawnej arystokracji), która przyjaśniła się z nami, powiedziała, że nie chce wychodzić z

lagru, że nie ma dokąd iść. Muszę tu powiedzieć, że inteligencja rosyjska przyjaźniła się z nami i była dla nas bardzo przychylna.

Kiedy przywieziono nas do lagru o specjalnym reżimie, od razu dano nam numerki, przestały istnieć nazwiska. Przestałem być Wandą Kozłowska, stałem się numerem 1-cz-59 (1-~~U~~-59). Numery malowano w ośrodku kulturalno-oświatowym. Były wielkości 12 na 24 centymetry. Miałyśmy je przyszyte na plecach, na rękawie, na spódnicy. Mężczyźni mieli je na czapkach. My zresztą też chodziłyśmy w męskich czapkach.

W Archangielsku, kiedy wyprowadzano brygady do pracy, konwój od bramy prowadził więźniów pod karabinami. Natomiast w Workucie używali specjalnej formułki. Naszych dozorców nazywaliśmy "krasnopagonnikami", od czerwonych pagonów. Do strzeżenia brygad oficer przyprowadzał cały oddział "krasnopagonników" i mówił do nich: "Wnimanije bojcy! Idiotie achraniaj' wragow naroda. Jeśli zakluczony sdielajet szag w bok, szag w tył, konwoj niemiedlienno primieniajet aruštije". Wtedy żołnierze mówili do nas w ten sam sposób. "Wnimanije zakluczonyje! Musicie iść czwórkami. Nie wolno wam zrobić kroku do tyłu czy do przodu, bo natychmiast, bez uprzedzenia, będziemy strzelać". Tak było do samego końca. Reżim specjalny polegał też na tym, że okna w barakach były okratowane, a baraki zamykano na zamki od godziny dziewiątej. Nie wolno było poruszać się między barakami. Nie wolno było rozmawiać w trzy czy cztery osoby. Kiedy do baraku wszedł "nadzieraciel", taki ubek, i to zobaczył, od razu posyłał do karceru. W Workucie siedziałem raz w karcerze. W barakach codziennie robiono rewizje. Nie wolno było mieć igły, nożyka, ołówka. Kiedy przychodziło się z pracy, wszystko w baraku było przewrócone. Kontrolowano nas, ro-

biono rewizję przy wyjściu do pracy i przy powrocie do baraków. Enkawudziści odnosili się do nas wrogo, ale nie bili.

Ani w Archangielsku, ani w Workucie.

W Workucie śnieg topniał w końcu maja, a w sierpniu znowu był mróz. Ziemia w czasie tych dwóch miesięcy odmarzała na 20 centymetrów. Nic tam nie rosło. Temperatury były strasznie niskie. Kiedy przywieźli nas z Archangielska, było tam przecież bardzo zimno, to nim zaadoptowaliśmy się w tym klimacie nie mogliśmy wychodzić z baraków nie zawiązując ust. Przy temperaturze -40 stopni brygady pracowały na zewnątrz. Była cała masa odmrożeń. Przed wyjściem do pracy ludzie smarowali twarze czerwono-brunatną mazią, wazeliną, która przypominała jakiś smar.

Miasto Workuta składało się z więźniów, dozorców i zarządców lagrów. Lagrów było chyba 42. Okręg workucki zaopatrywał w węgiel cały rejon leningradzki i miasto Leningrad.

Byłam w lagrze Pierwsza Kierpiczna. Pracowałam w ambulatorium, a kiedy mnie z niego wyrzucano, przy budowie dróg. Budowałam nawet kolej, wymienialiśmy tam podkłady. Kopałyśmy doły pod fundamenty domów, głębokie na 2-3 metry. Dawano nam kilofy i po kawałeczku wykopywaliśmy tę zamarznąłą ziemię. Do stacji zootechnicznej przywożono bydło z centralnej Rosji. Brano nas wtedy do wyrzucania nawozu z wagonów. Nawóz był zamarznąły i trzeba było rozбивać go kilofami. Odłamki leciały w oczy, do ust, wszędzie. Były też obozy żeńskie gdzie kobiety pracowały w cegielniach.

Jak już mówiłam, pracowałam w ambulatorium, z którego wyrzucano mnie co pewien czas. Kiedy nie mieli ludzi do pracy wysyłali telefonogram do Moskwy i przyjmowali mnie znowu. W ambulatorium i szpitalu trzeba było pracować przez całą dobę.

W ambulatorium był stół, słuchawki, aparat do mierzenia ciśnienia, a nawet strzykawki. Z lekami był straszny kłopot. O antybiotykach nie było mowy. Ludzie umierali, ale mniej niż w Archangielsku. Przystosowali się jakoś, choć odżywianie było straszne - 450 gram chleba-gliny, bałanda rano i wieczorem. Ludzie najczęściej chorowali na gruźlicę, wybuchła też epidemia duru brzuszego. Były zatrucia, gdy karmiono nas śledziona słońi morskich. Później okazało się, że zawiera ona substancje trujące. Na terenie obozu zatruto się ponad 300 osób, kilka zmarło. Wielu ludzi umierało z nadciśnienia.

W roku 1953 dowiedzieliśmy się z "toczki", że zachorował Stalin. Wśród więźniarek rosyjskich zapanała konsternacja, płakały. Po dwóch czy trzech dniach dowiedzieliśmy się, że umarł. Cieszyliśmy się z tego bardzo.

Po śmierci Stalina brat naszej koleżanki, która mieszka teraz w Warszawie, i jego dwaj lub trzej koledzy postanowili uciec z Workuty. W jaki sposób zorganizowali ucieczkę, nie wiem. Oczywiście złapano ich parę kilometrów za obozem. Tam były równiny bez lasów, zarosły gdzie można się skryć. I wszędzie byli więźniowie albo dozorczy. Nie było ludzi chodzących bez konwoju. Oczywiście wszystkich rozstrzelano. Później ich ciała przywieźli do lagru, leżały tam kilka dni. Kiedy mężczyźni wychodzili do kopalni, musieli na to patrzeć. Z Workuty nie uciekł nikt prócz kilku Niemców. Ale po nich przyleciał samolot.

Latem 1953 roku w lagrach Workuty wybuchło powstanie. Rozpoczęło się w jednej z największych kopalni - "Pierwszej Kapitałnej". Sowieci mówili, że był to strajk, lecz właściwie było to powstanie-strajk, które później udzieliło się innym kopalniom. Ludzie nie walczyli z enkawudzistami, po prostu nie po-

szli do pracy. Pamiętam, że nawet drukowali ulotki. W takich warunkach! Dotarły one do nas, do obozów kobiecych. Przy budowie domów pracowano po 10 godzin na dwie zmiany. Jedna zmiana w nocy, druga w dzień. Na budowie byli ludzie z różnych obozów. Mężczyźni zostawili ulotki w narzędziwni. Kontrolowane nas przy wyjściu i powrocie do obozu, ulotki przeniesiono więc w butach. Miałyśmy dwie takie ulotki-odezwy napisane w języku rosyjskim. Pisali w nich, żeby kobiety broń Boże nie brały z nich przykładu, żeby pracowały. W Worskucie stało kilka kopalni. Przyjechała wtedy komisja z Moskwy. Byli w niej minister przemysłu węglowego i minister spraw wewnętrznych.

Namawiali ludzi do pracy, pytali jakie mają żądania.

Żądania były następujące: Żeby płacono nam choć grosze za pracę, żeby otwierano baraki na noc (to zamknięcie było straszne, nie można było otworzyć drzwi ani okna, było bardzo duszno - w baraku spało 200-300 osób), żeby zdjęto kraty z okien i żeby za dobrą pracę zmniejszano wyroki. To chyba było wszystko. Dowódcą tego powstania był Rosjanin, podobno inżynier. Tak było na kopalni nr. 1 - "Pierwszej Kapitałnej". Na kopalni nr. 29 również nie poszli do pracy. Zjechały tam oddziały wojska, żołnierze otoczyli obóz i zaczęli strzelać do baraków. W środku byli ludzie. Z tego co opowiadali koledzy, którzy tam mieszkali, krew płynęła rynsztokami.

Później głównego przywódcę, tego inżyniera, i kilkadziesiąt osób, które występowały z petycjami do ministra oczywiście aresztowano i wywieziono w nieznanym kierunku. Czyli stracono. Tych, którzy strajkowali wsadzano do karcerów, dawano im drugie wyroki, sądono jeszcze raz. Ale mimo to uzyskaliśmy, że z baraków zdjęto zamki i kraty i zaczęto nam płacić, oczywiście grosze. Później niektórym, za to że się dobrze sprawowali skra-

cano wyroki o kilka miesięcy. Na przykład ja zamiast wyjść w sierpniu, wyszłam w marcu 1956.

Po roku 1953 dalej pracowaliśmy, umierali, obozy trwały. Ludzie stopniowo wychodzili na wolność. Ale lagry były cały czas zapełnione, wciąż dowożono nowych więźniów. Na temat życia w lagrze można mówić przez całe miesiące. Tam każdy dzień miał swój wydźwięk, wyraz. Zawsze coś się działo. W Workucie przebywałam w dwóch lagrach - Pierwej Kierpicznoj i Predszachtnoj, skąd wyszłam na wolność.

Po roku 1953 mieliśmy już nadzieję, że może kiedyś wyjdziemy na wolność. Ale później rozeszła się plotka, może rzeczywiście były takie zamierzenia władz sowieckich, że po skończeniu wyroku będą nas wysyłać na ziemie dziewicze, tereny niezamieszkałe. U nich nazywało się to "celinnyje ziemli". Byliśmy tym przerażeni i załamani. Oznaczało to dla nas znowu baraki, znowu straszne życie i dożywotnią zsyłkę. Na szczęście okazało się to nieprawdą.

Kiedy kończył się wyrok, bardzo szykowaliśmy się do wyjścia. Trudno było sobie wyobrazić, jak wygląda wolność. Była jaka, ale wolność. Obóz, w którym byłam znajdował się właściwie w samym mieście. Widziałyśmy bloki, bardzo podobne do naszych. W oknach paliły się światła i czasem przez szybę widziało się sylwetkę ludzką. Chodziłyśmy po obozie i pytałyśmy siebie: Co tam się dzieje w każdym domu, jak tam jest? Jak się będziemy czuły, kiedy wyjdziemy poza zonę?

I przyszedł ten moment. Stało się to 25 marca 1955 roku. Nie było gdzie mieszkać, nie było żadnych środków do życia. W lagrze ^{człowiek} miał dwie deski, miał kubek kapiatku, jakąś bakandę. A tu nie było nic. Zaprowadzono nas do komendantury, oczywiście pod eskortą żołnierzy. Tam mieli nam wpisać do dowodu osobis-

tego obywatelstwo sowieckie. Nie zgodziłyśmy się na to. A oni nie chcieli się zgodzić na wpisanie obywatelstwa polskiego. W komendanturze siedziałam prawie całą dobę. Myślałam, że pewnie znowu wrócą mnie do lagru. To, że nie zgodziłam się na wpisanie do dowodu obywatelstwa sowieckiego oczywiście nic nie porogło. Wpisali to co chcieli. Po wyroku zostawiono nas na dożywotnią zsyłkę w Workucie. Do tego był warunek, że co 10 dni musimy meldować się w komendanturze.

Moje koleżanki wyszły z lagru wcześniej i miały jakiś kąt w mieście. Zatrzymałam się u nich. Koledzy zrobili nam tapczan deskę i spałyśmy we czwórkę w pomieszczeniu nie większym niż łazienka. Pamiętam, że kiedyś jeden z kolegów zachorował i wtedy Władek Leśniewski przybiegł do mnie, żebym go ratowała. Byłyśmy we czwórkę w naszym pokoiku i kiedy wszedł nie mógł nawet kroku zrobić. Po wyjściu z lagru pracowałam w wolnym szpitalu. Zarabiałam 750 rubli pracując na półtora etatu. Do szpitala trafiła ciężko chora jedna z moich koleżanek, Janina Muszyńska (jej mąż, Edward Muszyński, też był w Workucie). "Grzebałyśmy" ją kilka razy w obozie i później, ale żyje do dzisiaj, mieszka w Gdańsku. W laboratorium pracowała Stenia Szantyr. Od aresztowania aż do Workuty była razem ze mną Stanisława Naumienko.

Raz, kiedy poszliśmy meldować się do komendantury, komendant powiedział: "snijam z was zsyłku" i wręczył dokument, który to poświadczał. Ale znowu były warunki. Nie wolno było zatrzymać się w Moskwie, Leningradzie, Kijowie, w dużych, centralnych miastach Rosji. Wtedy można było zacząć starać się o powrót do kraju. Po pewnym czasie otrzymałam w szpitalu telefon, żeby zgłosić się do komendantury. Pomyślałam: "Boże, o co chodzi?" Kiedy tam przyszłam komendant powiedział, że mam zwró-

cię sprawką mówiącą o zdjęciu zsyłki. Powiedziałam, że nie mam jej, że wysłałam do Polski. Zapytał na jaki adres, podałam mu więc jakiś w Warszawie. W ten sposób zaświadczenie to zostało u mnie. Jeden z kolegów poszedł do komendantury i oddał to zaświadczenie. Podarli je na jego oczach.

Sowieci zażądali od tych, którzy wracali do kraju dokumentów stwierdzających, że ich rodzina jest w Polsce. Kto nie miał rodziny w Polsce, ten nie miał prawa wyjechać. Miałam przez to dużo kłopotów. W wyjeździe pomogła mi warszawska rozgłoszenie "Kraj". Kolega, który wcześniej wyjechał do Polski, podał tam nasze nazwiska, ale ja napisałam jeszcze do rozgłoszeni list. Po miesiącu otrzymałam odpowiedź. Napisali, że zgłosili moje nazwisko do ambasady polskiej w Moskwie, żeby potwierdziła moje obywatelstwo do 1939 roku. Przesyłali nam serdeczne pozdrowienia. Czytaliśmy ten list i płakali. Później otrzymałam od nich list, że znowu interweniowali w ambasadzie i w końcu dostałam z Moskwy dwa świadectwa potwierdzające moje obywatelstwo polskie przed wojną. Na podstawie tego zaświadczenia mogłam składać dokumenty na wyjazd do kraju. Sowieci starali się zatrzymać nas tam za wszelką cenę. To, że wyjechalismy zawdzięczamy naszemu koledze, Walekowi Jackiewiczowi, który mógł poruszać się po Rosji i kilkakrotnie jeździł do Moskwy. Pracował on w kopalni na wysokim stanowisku, był "starszym normirowszczikiem". Kiedy wyszliśmy z obozu on i jego żona dokarmiali nas, w niedzielę odprawiała się u nich msza, było tam trzech naszych księży, później ustawiane były stoły i mogliśmy jeść. Żona pana Jackiewicza pracowała jako pielęgniarka, przez cały czas była wolnym człowiekiem. Pan Walek wyrobił dokumenty potrzebne do naszego powrotu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Moskwie.

Do Polski wracało nas 17 osób. (Marian Łaskowski, Stanisław Winogrodzki) Z Workuty wyjechaliśmy w sierpniu 1956 roku. Do Moskwy jechaliśmy trzy doby, ale eleganckim osobowym pociągami. W Moskwie poszliśmy do Ambasady Polski, jej sekretarzem był wtedy Piotr Motruk, interweniował w sprawie naszych kolegów, którzy zostali jeszcze w Workucie. W ambasadzie zaprosili nas do pięknej sali i tam na ścianie wisiał gobelin - biały orzeł bez korony na szarym tle. Wszyscy krzyknęliśmy: "O, co to za orzeł!?" Pracownicy ambasady przyglądali się nam, wszystkie panie były wystrojone. My byliśmy w naszych ubraniach z Workuty. Pan Motruk nie przyjął nas ponieważ był na wyjeździe. Zostaliśmy przyjęci przez jego zastępcę. Kiedy wystąpiliśmy do niego z żadaniami aby nie komplikowano wyjazdu naszych kolegów, którzy zostali w Workucie, powiedział nam, że nie mają wiele do powiedzenia w tej sprawie. Mówił, że nawet nie wiedzieli o istnieniu Workuty. Było to oczywiście kompletną bzdurą. Powiedzieliśmy, że jeśli nie zagwarantuje nam, że będą się starać w tej sprawie, to nie wyjdziemy z ambasady. W każdym bądź razie stoczyliśmy tam bój, ale czy dał on jakieś rezultaty nie wiem. Ambasada dała nam trochę pieniędzy, bilety do Teatru Wielkiego i Teatru Akademickiego. Zakatwili nam mieszkanie w eleganckim hotelu dla cudzoziemców. Byliśmy w Moskwie przez 9 dni. Zwiedziliśmy Galerię Trietiakowską, Kreml. Byliśmy w soborze, gdzie koronowano carów. W tym czasie zostały w nim tylko sarkofagi i odarte ze wszystkiego ściany. W Teatrze Wielkim byliśmy na balecie "Jezioro Zabędzie". Była to czysta komedia. Balet wystawiano dla świata dyplomatycznego. Wśród przedstawicieli ~~świata~~ ambasad zachodnich rzucaliśmy się bardzo w oczy. Na przerwie ciągle na nas spoglądali. Chłopcy kupili mi w Moskwie bukiet mieczyków. Kiedy wchodzi-

liśmy do metra, usłyszeliśmy "Śwadźba idiot". Nie raziko ich, że byliśmy byle jak ubrani.

Z Moskwy koledzy wrócili do kraju, a ja pojechałam do Mściwo-
wa, gdzie mieszkali rodzice. Nie wyjechali do kraju. Dowiedzia-
łam się, że Sowieci maltretowali mego ojca, aresztowali bra-
ta i prawie zabili go na śledztwie. Kiedy wróciłam do domu,
nie był już. Dom był kompletnie zniszczony. Chciałam побыć
z rodzicami, a ostatnim dniem, w którym mogłam wyjechać do
Polski był 21 grudnia. Przez trzy miesiące byłam u rodziców.
Nie poznałam naszego miasteczka. Przez cały czas mego pobytu
w lagrze rodzice byli bardzo szykanowani. Ciągłe mówiono, że
są rodzicami bandytki. Kiedy byłam w domu, do ojca prawie każ-
dej nocy przychodzili milicjanci i pytali: "Kiedy ta twoja
bandytką wyjedzie?"

Z Workuty wyjechałam bardzo ciężko chora na gruźlicę. Ważyłam
wtedy 45-46 kilogramów. W kraju nie miałam niczego. Przyjecha-
łam do Białegostoku do koleżanki z lagru, ale ona wyjechała
na Boże Narodzenie do Gdańska. Wróciłam więc na dworzec i po-
jechałam do Warszawy. Mieszkała tam Janka Muszyńska i zatrzy-
małam się u niej. W Warszawie zostałam przez miesiąc.

Pierwsza Wigilia w kraju była dla mnie straszna. Kiedy przysz-
łam do Janki, nie było jej w domu, poszła na pasterkę. Właści-
cielka mieszkania pokazała mi gdzie jest kościół. Wigilię te-
go roku obchodzono bardzo uroczystie, było przecież po rozru-
chach. W kościele było pełno wojska, a ja stałam i płakałam.
Nagle ktoś chwycił mnie za ramię. To był kolega z Workuty,
Włodek Leśniewski. Koleżanka, której szukałam była u niego na
Wigilii. Chciał zabrać mnie do siebie, ale nie dałam rady iść.
Poszłam do Janki Muszyńskiej i spałam prawie do następnego wie-
czora. Po miesiącu wróciłam do Białegostoku i zatrzymałam się

u koleżanki. Potem zamieszkałam u dwójga staruszków. Bratan-
kowie gospodyni zgineli w Rosji, miała więc dla mnie dużo ser-
ca. Dostałam wtedy tragiczny telegram, że umarł mój ojciec.
Ambasada sowiecka nie zezwoliła mi na wyjazd do Mściwowa. Póź-
niej dostałam mieszkanie i sprowadziłam tu chorą siostrę i
matkę.

Przeżyć w łagrze pomogło nam to, że byliśmy młodzi, zaharto-
wani w walce podziemnej. Mieliśmy dużo silnej woli i dużo na-
dziei, choć czasem załamywaliśmy się, że prawda kiedyś zwycię-
ży, że musimy przetrwać. Była też wiara, dużo modliliśmy się.
Chociaż czasem traciliśmy wiarę. Działo się to zwłaszcza wtedy,
gdy przed wyjściem z łagru powtarzano nam przez pół roku, że
wyśle nas na ziemie dziewicze. Właśnie to był jeden z najstra-
sniejszych momentów w Rosji. Byliśmy szczęśliwi, kiedy zos-
tawiono nas na dożywocie w Workucie. Widząc wokół siebie ty-
le zbrodni, tyle tragedii często traciło się wiarę. Jednak
nikt z Polaków nie popełnił samobójstwa. Duży wpływ na to,
że nie załamaliśmy się miało wychowanie, które odebraliśmy w
rodzinach, w szkole. Władze sowieckie, które nas nie znosiły,
które nazywały nas faszystami, mimo wszystko nas szanowały.
To dziwna rzecz, ale mówili, że odpowiedzialną pracę można po-
wierzyć tylko Polakowi. To, że pracowaliśmy od samego począt-
ku, że nie unikaliśmy tej pracy utrzymało nas przy życiu.
Uważam, że prawdziwi Rosjanie są dobrymi ludźmi. Ale tam gdzie-
śmy przebywali prawdziwych Rosjan było bardzo mało. Byli kry-
minaliści, Sowietci. A między Sowietem a Rosjaninem jest róż-
nica. Sowietci, to specyficzna warstwa ludzi wychowana przez
władzę radziecką. Inteligencja rosyjska była wobec nas nast-
awiona bardzo dobrze. Natomiast kryminaliści i "ludzie radziec-
cy", nawet oficerowie, którzy trafili do łagrów za to, że byli

w niewoli, byli zupełnie inni.

Władza sowiecka to banda zbójów, mówiąc łagodnie. Jestem w towarzystwie i nie chcę użyć jakiegoś niestosownego określenia. Uważam, że to jest, była i będzie granda zbójów, dopóki trwać będzie ten szatański komunizm.

Zetknięcie z władzą sowiecką zniszczyło całe moje życie i życie mojej rodziny. Przepadła praca naszych rodziców. Życie ludzi takich jak ja, zostało przekreślone. Do kraju wróciły wraki. Być może tym, którzy mieli rodzinę na tych terenach było łatwiej, ale takim jak ja... Co tu dużo mówić, wróciliśmy do następnego lagru.

Po powrocie do Polski przez cały czas pracuję w służbie zdrowia. W pracy nie miałam żadnych kłopotów. Miałam kłopoty z utrzymaniem mieszkania, było to w 1959 roku. Pan Litwin, który dziś ma coś wspólnego ze Związkiem Sybiraków, chciał wpuścić mnie do chaty z glinianym piecem. Wmawiał mi, że jest to dobre mieszkanie.

Dwa razy wzywano mnie na UB, żebym podpisała, że nie będę mówić o tym gdzie byłam przez te 11 lat. Było to w latach 1962-65. Początkowo nie mówili wprost czego chcą. Zadawali pytania o gimnazjum, w którym się uczyłam, o koleżanki, kolegów. Trzymali mnie po 4 godziny. Dopiero później podsunęli mi papierek do podpisania. Nie podpisałam.

Polacy przebywający w więzieniach i lagrach:

Baryło Alina	Laskowski Marian
Bohatyrowicz Zuzanna	Lesniewski Kazimierz
Borodziuk Edward	Lubaszewska Jadwiga
Borodziuk Jadwiga	Maciejewska Stanisława
Borodziuk Janina	Muszyński Edward
Borodziuk	Muszyńska Janina, żona Edwarda
"Boruta"	Naumienko Stanisława
Botwicz Bronisław	Pawłowska Teresa
Buro Felicja	Pożuch Wera
Garbowska Hanna	Rzeczkowski Mikołaj
Guzarowa	Rzeczkowski Wacław
Jackiewicz Walek	Sadowski Michał
Jackiewicz, żona W.	Szantyr Stenia
"Józef"	Winogrodzki Stanisław
Kozłowski Jan	Zarzycki Aleksander
Kozłowski Kazimierz	Zielińska Teresa

Rosjanie:

Pałagina Tania, Rediszczew

Śledczy z Wołkowyska: Iwanow, Kaniakin, Masłow.

Śledczy z Grodna: Orłow

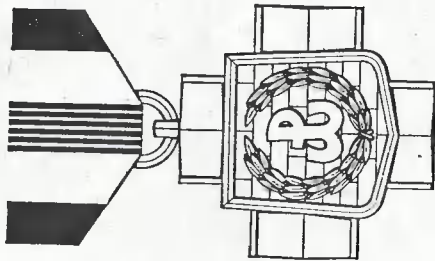
Kryszukowicz Bernard - Współpracownik NKHB, Polak.

**ODZNAKA
BIAŁOSTOCKIEGO OKREGU AK**



LEGITYMACJA Nr110.....

**LEGITYMACJA
KRZYŻA ARMII KRAJOWEJ**



Nr.9793.....

Трудовая книжка

Фамилия *Козловская*

Имя *Ванда*

Отчество *Иосифовна*

Год рождения *1921 года*

Образование: начальное, среднее, высшее
(подчеркнуть)

Профессия *медсестра*

Подпись владельца Трудовой книжки

Козлов

Дата заполнения Трудовой книжки

26 мая 19*55* г.



ТРУДОВАЯ
КНИЖКА



Legitymacja Nr ..17231.

.....KOZŁOWSKA Wanda.....

.....P.S. "Jaskółka".....SZER. s.....

Narwisko, imię, pseudonim, stopień

z ARMIJ KRAJOWEJ

odznaczony został

MEDALEM WOJSKA

po raz ..1, 2, 3.....

T. Berzyński

T. Pełczyński - "Grzegorz"

Z-CADA D-CY ARMIJ KRAJOWEJ

Londyn, dnia ..1/9/1971.....

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ
JEDNOSTKOWA

LEGITYMACJA Nr. 33321.

Stopień, imię, nazwisko ..Łączniczka.....

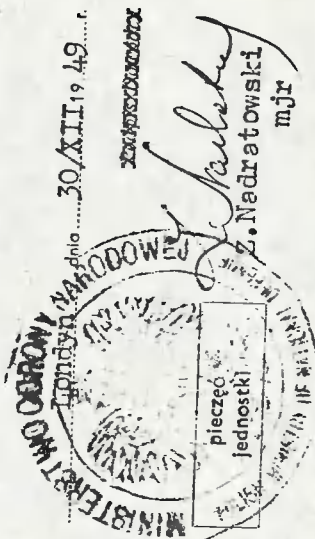
Wanda KOZŁOWSKA

Oddział ..Armia Krajowa.....

Odnaczone zostało SREBR. KRZYŻEM ZASŁUGI
MIEDZYNARODOWYCH Z MIECZAMI

Podstawa: Rozk. K.K.W. Dowódcy A.K.

z dnia 11.XI.1943 r.





KOLEGIUM
ODZNAKI-BIAŁOSTOCKIEGO OKRĘGU AK
przyznano Odznakę Okręgu
Żołnierzowi Armii Krajowej

Pseudonim "Jaskółka"
Imię Wanda Irena
Nazwisko Kozłowska
Stopień szeregowy-UST
Funkcja sanitariusz, "Białystok"
Obwód służby Wołkowysk

za kolegium
Przewodniczący
Władysław Kaufman-Borowski
"Bogusław"

ppłk. Władysław Kaufman-Borowski

Nazwisko KOZŁOWSKA
Imię Wanda
Pseudonim "Jaskółka"
Przydział Obw. Wołkowysk,
..... OPD. "Droga".

Odnaczony został

KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ

ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku
przez dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora-
Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku
żołnierza Polski Podziemnej w latach
1939 — 1945

Przewodniczący

Podpis: **Krzyż**

Krzyż

K. Ziemski — "Wachnowski"

1/9/1971.

Londyn, dnia